№ 39. Warszawa, dnia 17 (29) Września 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs.3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie, rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

OD REDAKCYI.

Przypominamy odnowienie prenumeraty na kwartał czwarty bieżącego roku. Pod ryciną tytułową w każdym numerze znajdują się warunki prenumeraty.

Na **Przyjaciela Dzieci** *prenumerata wynosi:*

W Warszawie kwartalnie rs. 1.

Na prowincyi z przesyłką pocztową:

kwartalnie rs. 1 kop. 25.
półrocznie rs. 2 kop. 50.
rocznie rs. 5.

Adres: Do J. K. Gregorowicza, Redaktora „Tygodnika Mód i Powieści" oraz „Przyjaciela Dzieci", w Warszawie ulica Chmielna Nr 26.

Z LITERATURY HOLENDERSKIEJ.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

Wiele dziś mówią i piszą o szkole realistycznej w literaturze i sztuce w ogólności. Wyraz *realizm*, w skutek nadużycia go przez pisarzy i artystów, stał się niejako określeniem brzydoty. Wprawdzie Wiktor Hugo, patrząc ze wstrętem na zużyte formy klasyczne, wykrzyknął pierwszy: *Brzydota oto piękno!* (le laid est le beau), nie on przecież ale raczej jego następcy, zrealizowali to hasło w sposób szpetny i odrażający.

Inaczej pojmują rzeczywistą prawdę Holendrzy, ci mistrze w odtwarzaniu scen z życia tak pędzlem jak i piórem.

Obrazy ich rodzajowe od dwóch wieków, zdobyły sławę europejską, nie ustępują malarzom pisarze holenderscy. Na czele ich stoi, żyjący dotąd siedmdziesięcioletni Nikolaas Beets, znany pod pseudonimem Hildebranda. Zdobył on w kraju niesłychaną popularność.

Urodzony w Haarlem, 1814 roku, Beets odbył nauki w Leydzie, otrzymał stopień doktora teologii. Uniwersytet Utrechcki powołał go na profesora; akademia nauk mianowała go członkiem.

Prace Beetsa nadzwyczaj liczne, wielka ich część poświęcona teologii. Pisał niemniej i poezye, ale największy rozgłos zjednało mu dzieło pod tytułem „Camera obscura". Jest to szereg scen oderwanych, pełnych życia i barwy miejscowej. Holendrzy zachwycają się niemi, w typach nakreślonych po mistrzowsku, poznają sami siebie.

Autor przebiega całą Holandyą, zatrzymuje się w małych miasteczkach, przy ognisku rodzin miejskich, opisuje wszystko co mu wpadło w oczy i ludzi i domowe zwyczaje, nacechowane patryarchalną prostotą. Podróż tę odbywał w 1836 roku, kiedy kolej żelazna nie istniała jeszcze w Holandyi, ale niezliczone kanały przecinały kraj wzdłuż i w poprzek. Po tych to wodnych gościńcach płynęły wązkie statki, ciągnął je pomału wychudły koń, uprzężony do długiej liny. Towarzystwo na statku, tworzy wyborny rodzajowy obrazek; każda grupa nacechowana właściwym sobie charakterem.

„Kabinka pełna: tu siedzą przekupki z koszami chleba, tam przechadzają się czeladnicy od pasztetnika, chcieliby widocznie pokazać się czemś więcej, mają też wielkie guziki mosiężne u koszuli i krawaty zapięte na błyszczącą śpilkę z żółtem oczkiem. Stary jegomość bawi się z tabakierką, wygrywa na niej kuranty, jakaś rodzina śpieszy po objęcie spadku, kilku podeszłych kapitalistów gawędzi paląc tytuń z wielkich fajek w srebrnej oprawie, dalej poczciwi kasyerowie, pokazują so-

bie srebrne tabakiery, z napisem pamiątkowym, otrzymane w nagrodę dwudziestopięcioletniej służby w handlowym domu. Tu matki z gromadką dzieci, tam gosposie z pończoszką w ręku, migają co żywo drutami; jakaś wyfiokowana sługa udaje panią, mówi o swoich wioskach i płonie wstydem, kiedy zsiadłszy z pomostu na stacyi, spotyka ogrodniczka przybiegłego na jej spotkanie. Jakiś znów hipokondryk, śpieszy po radę do sławnego lekarza. Dodajmy do tego całą chmarę studentów zwanych zielonymi od munduru; wracają z wakacyi do różnych miast uniwersyteckich."

W drugiej części dzieła, Hildebrand wprowadza czytelnika do wiosek, maluje lud rolniczy, kobiety wiejskie i rybaków. Tu widzimy życie Batawczyków w całej oryginalności, nie zamącone obcym wpływem, jak to bywa po wielkich miastach.

Zobaczmy nasamprzód rybaków z Marken, maleńkiej wysepki na zatoce Zuydersee. „Co rok — mówi autor — w miesiącu Styczniu, mieszkańcy miasta Haarlem, widzą pięciu lub sześciu młodych barczystych zuchów, jak pod kierunkiem starego olbrzyma, przechodzą głównemi ulicami. Tłumy pędzą za nimi, patrzą na nich ciekawie.

Te młode zuchy zmieniają się co rok; gdyż aby odbyć doroczny pochód, potrzeba mieć lat ośmnaście, ani mniej, ani więcej. Wszyscy ubrani jednakowo: mają spodnie szerokie, krótkie, z wielkiemi kieszeniami, z grubego sukna barwy brunatnej, takież same koszule, mocno ściśnięte w stanie, kamizelki niebieskie spięte na rzęd guzików, na nogach ogromne buty, długie pończochy popielate, kapelusz z bardzo szerokim brzegiem dopełnia ich ubrania.

„Grupa ta tworzy roczny kontyngens do milicyi narodowej z wyspy Marken. Stary olbrzym to burmistrz owej wyspy, a raczej kępy błotnistej na zatoce Zuydersee. Powierzchnia jej porośnięta gdzieniegdzie chudą trawą, dostarcza paszy na wyżywienie jednego ledwie konia. Nie widać tu nigdzie śladu uprawy; brak nawet piekarza na wyspie, chleb sprowadzają z Monnikendan. Statek nie wpływa do portu kiedy morze burzliwe; biedne olbrzymy przycierpią nieraz głodu. A przecież w tym małym zakątku ziemi przechował się wiernie typ naddziadów naszych. Wzrost ich dochodzi sześciu stóp, bary ich krzepkie i rosłe, w uszach noszą kolczyki. Jeśli podróżnik zabłąka się na wyspę, znajdzie tu chaty, obyczaje, pojęcia, też same jak dwieście lat temu. Spotkałem siedmdziesięcioletniego starca, który wierzył w duchy i czarowników. W domu burmistrza suszyłem zmokłą odzież przy ognisku, z którego dym wybiegał otworem w dachu pozostawionym. Łóżka mieszkańców tak wysoko przyczepione do ściany, że trzeba wchodzić w nie po drabinach. Kobiety z wyspy lękają się obcych, uciekają z domu przed nimi. Wszystkie w ogólności szpetne i drobniejsze od mężów. Noszą na głowie jakieś kapturki białe, włosy w krętych kędziorach spadają im na obie strony twarzy. Stanik ich zazwyczaj w dwóch kolorach, z czerwonym przodem i zielonemi plecami. Jedyną zabawką dzieci ułaskawiona mewa. Pastor, nauczyciel szkolny i chirurg, wydają się jak karły wśród olbrzymich tubylców."

Po rybakach z Marken, autor opisuje wieśniaka i wieśniaczkę z północnej Holandyi, tej części kraju, gdzie się najlepiej przechowały dawne typy. Powtarzamy za nim ciekawy obraz.

„Gees Rick to kobieta krzepka i kształtna. Twarz jej biała błyszczy świeżym rumieńcem, sznury korali, które zawiesza na szyi w niedzielę, podnoszą jeszcze piękność cery. Ładnie jej w białym czepcu. Nosek ma drobny, prosty, oczy błękitne, brodę okrągłą, szyję białą, czoło gładkie połyskujące. Psują tę harmonią zęby popróchniałe nadużyciem kawy i ciasta. Jaki kolor jej włosów? nikt tego nie wie, bo wszystkie starannie zgolone. Głowę pokrywa czapeczką złotą, na to kładzie czepek ażurowy, przytwierdzony nad czołem ogromną śpilką złotą, a na skroniach złotemi blaszkami. Z pod tych blaszek wybiega kosmyk fałszywych włosów, czarnego zawsze koloru.

„Mąż jej Dries Rick, ceni żonę nad wszystko; na równi z nią jednak ocenia swoje krowy. Gees doi te krowy, wyrabia z mleka ser i masło. Przy bezustannem zajęciu nie zaniedbuje przecież dziatek, a ma ich bardzo wiele.

„Jeśli chcesz poznać czystość holenderską zajrzyj do fermy Rick, wszystko tu świeci i błyszczy a jednak wszystko służy do codziennego użytku. Sprzęty wyglądają jak nowe, dzięki zabiegłej gospodyni.

„Gees w młodości swojej licznych miała zalotników, chodziła z nimi na kermasze. Teraz szanuje męża, dobrą jest żoną i przywiązaną matką.

„Dries Rick raz w tydzień śpieszy do Alkmaar z serami. Tam co piątek na placu targowym zobaczysz tysiące serów, ułożonych na zielonym płótnie. Ser, to siła żywotna północnej Holandyi, ser zasłania ją od wściekłości wód morskich, ser wyprowadza kłęby dymu z niezliczonych kominów. Chcesz-li wiedzieć czy kwesta na ubogich powiodła się w niedzielę? spytaj ile w piątek zgarnął za ser pieniędzy. Iść na targ, to główne zajęcie Holendra, jest on zarazem kupcem i gospodarzem. Ideał jego szczęścia, to posiadać własny ferm, na kawałku ziemi wydartej falom morskim i nie mieć innych sług oprócz własnej dziatwy. Ideałem jego piękne krowy, czarne w białe centki, młody koń i wózek o pozłocistych kołach. Największa radość kiedy uprzęże ten lekki wózek i powiezie nim wystrojoną żonę na kermasz. Jeśli wyprzedzi sąsiadów, pociągając silnie za uzdy, (gdyż nie używa nigdy bicza), wtedy czuje się tak szczęśliwym, jakby żywcem dostał się już do Raju."

Wszystkie obrazy holenderskiego autora malowane z równem życiem i prawdą. Innem okiem patrzą na rzeczywistość powieściopisarze francuzcy, u tych prawda ma tylko szpetną stronę, dowodem na to obrzydliwe powieści Zoli, a zwłaszcza najohydniejsza ze wszystkich *Ziemia*, w której tak sponiewierał lud wieśniaczy.

Spóźnione róże.

Sonet.

Westchnąłem: czemu? ktoś ciekawie spyta:
Za czem myśl moja tęskna jest w pogoni?
Ona przeszłości nikłe cienie chwyta,
I wydobywa perły z wspomnień toni.

Kroczę samotny po ogródku małym,
Kędy stulistnych róż płoną bukiety;
Wkoło mnie wiosna lśni przepychem całym,
Lecz do radości nie mam już podniety!

Niegdyś, w tym samym ogrodzie, z tych krzaków,
Przy świegotaniu budzących się ptaków,
Rwałem o brzasku dnia rozkwitłe róże;

Dziś mię już nawet i one nie znęcą,
Choć się purpurą okryły książęcą,
Bo komuż teraz niemi się przysłużę?

M. H. Truszkowski.

PRZESILENIE.

PRZEZ

Maryę Napierałską.

(Dalszy ciąg.)

Anusia, wyobraź sobie Horciu, Anusia chce wyjechać z Warszawy.

— Jakto, niechciałabyś korzystać z karnawału, zbierać tryumfy? Bo ty w swoim rodzaju jesteś ładną, bardzo ładną kuzynko!

I Horcia wzięła w rękę moje dwa długie, spuszczone warkocze.

— Ktokolwiek zobaczy takie złociste kosy, taką świeżość i naiwność, będzie zachwycony tobą.

— Ależ prawisz dziś komplementa. Jesteś jakąś inną, niż zwykle — odparłam niechętnie, co tylko wywołało wesoły wybuch śmiechu z ust kuzynki.

— To Anusiu tobie, wydaje się wszystko innem po zemdleniu.

Ostatecznie stanęło na tem, że napiszę o przybycie mamy do Warszawy. Ciotka na więcej nie chciała pozwolić, a ja w duszy postanowiłam odjechać z nią razem.

— Anusiu — zaczęła półgłosem Horcia po wyjściu matki z biblioteki. — Wielkie rzeczy drżą w powietrzu. Wyobraź sobie, napiszę osobiście do twej mamy. Potrzebuję jej protekcyi, ale co się święci, o tem dopiero powiem ci wtenczas, gdy protegowanie stanie u celu. Potrzeba jednak, aby twoja mama przybyła dopiero za pięć, sześć dni, t. j. po upływie takiej ilości czasu, jakiej wymaga posłanie depeszy, zgadnij gdzie? Stoisz niema. Otóż do Nicei. Naturalnie wezwanie depeszy sprowadzi kogoś... miłego gościa... A widzisz? Nic z tego nie rozumiesz! Na depeszę więc i podróż potrzeba kilka dni czasu. Czy więc zgodzisz się na późniejsze ujrzenie twej mamy?

Nie czekając odpowiedzi, porwała mnie w swe objęcia całując szybko.

— Cóż to Anusiu? Odpychasz mnie! Ah! bo pogniotłam świeży twój stanik i poczochrałam grzywkę. Jaką masz minkę zadąsaną! Za to mój chumor różowy. Nieprawdaż, nie jestem podobną do twej wczorajszej kuzynki. Jedna noc zmieniła nie do poznania.

— Powiedz, Horciu, dlaczego w cieplarni, na kilka godzin przed koncertem, kiedy pan Witalis mówił ci coś gorąco o symbolu chińskiej róży, ty zamknęłaś mu gwałtem prawie usta, nakazującym dumnym wyrazem twarzy. Dlaczego?

— Nie powiem — rzekła Hortensya ze ślicznym grymasem.

— Jeśli nie powiesz — zawołałam rozgniewana prawie — to i ja się nie zgodzę na późniejszy przyjazd mamy.

— Nie uczynisz tego — brzmiała spokojniejsza odpowiedź — bo jakiemże mianem możnaby ochrzcić podobne postąpienie? Byłby to więcej niż dziecinny upór, byłoby to, o co posądzać nie chcę mej przyrodniej siostry, brzmiałoby niełądnie i śmiesznie.

Stanęłam więc znów bezsilna, wobec tej logiki. Rzeczywiście, czemże mogłabym usprawiedliwić taki wybryk? Zawsze więc ona będzie nademną wszystkiem przeważała? Tak, szeptał mi głos jakiś wewnętrzny, ona nie wyznałaby swej miłości mężczyznie, o którym wie, że nie będzie do niej należał nigdy. Ona umiałaby zamknąć serce i przetrawić w sobie ogień namiętności. Ona zawsze, we wszystkiem górowałaby nademną.

— Będę wspaniałomyślną i odpowiem na twe pytanie. Może kiedyś będziesz sama w takiem położeniu. Wyobraź sobie, że widzisz, jak ktoś zwraca ku tobie wszystkie swe myśli, uczucia, marzenia, sny nawet. Odwzajemniasz mu się całem sercem, ale drżysz zarazem wiedząc o zaporach dzielących dwie pary ramion od siebie... Oczekujesz stanowczej chwili wyznania, obawiasz się jej także, jak w ogóle wszystkiego, co czyni w życiu przełom, co otwiera drogę, jaką ci przecież mogą zamknąć inni i powiedzieć: „Nie pójdziesz z tym, który ci jest miły."

I zapomniawszy o przyrzeczonem mi niedawno zachowaniu tajemnicy, Hortensya ze wzrokiem utkwionym gdzieś w dal, mówiła raczej do siebie, niż do mnie. Oczy jej mgliły się jakąś rozkoszną wilgocią, na twarzy wybił się wyraz szczególnej piękności. Nagle spostrzegłszy się, że postąpiła w rozmowie nad program, wybuchłe śmiechem:

— Ależ ja głowę tracę — zawołała i wybiegła z wesołą zwrotką piosenki. Hortensyi w takim, trzpiotowatym niemal humorze, nigdy nie widziałam.

Minęło sześć dni, w ciągu których nie schodziłam do salonu ani razu, w czasie wizyty Witalisa. Zawsze jakaś wymówka pozwoliła mi zostać na drugiem piętrze. Ogarnęła mnie nieznana dotąd apatya. Wrażliwość uleciała bezpowrotnie. W takiem też usposobieniu znalazła mnie moja matka, kiedy wyszłam do niej z wyciągniętemi ramionami, ale bez krzyku radości, bez serdecznego uniesienia.

— Jakże się zmieniłaś, moja Anusiu! — wołała ciągle matka, wpatrując się badawczo w swoją jedynaczkę.

— Jaka powaga, jaki spokój! Nie poznaję prawie mego roztrzepanego dzieciaka. Nie przypuszczałam nigdy takiej zmiany po karnawale warszawskim. Nikt cię nie pozna w Wólce.

Wólka! dawno ten wyraz nie był używany w moim słowniku. Teraz przedstawiła się w mej myśli wioska, jak oaza ciszy, ukojenia, jako objęcie, w którem po wstrząśnieniach miałam zaznać spoczynku.

Horcia szeptała coś często mojej mamie, o coś prosiła, przymilała się, a ja zaczynałam pakować moje rzeczy, mimo silnej opozycyi baronostwa. Wuj nadewszystko nie mógł sobie wyobrazić, jak można ruchliwość miasta zamienić na ciszę wiejską.

— Nie służy mi powietrze tutejsze — powtarzałam uparcie na wszystkie i wszystkich zachęty, opozycye, etc.

„Wielkie rzeczy, drżące w powietrzu" — jak mówiła Horcia, zawisły już tuż nad ziemią.

Pewnego pięknego dnia stojąc w oknie, w salonie, przecierałam szyby bezmyślnie batystową chusteczką, zabawiając się wyglądaniem na ulicę. Jakiś pojazd zmierzał wprost przed dom baronostwa. Jechał Witalis, ale kto zajmuje miejsce obok niego? Mężczyzna niewidziany na naszych przyjęciach nigdy, o ile sobie przypominam. Jeszcze myśli o tym nieznajomym wirowały w mej głowie, kiedy pośpieszne ich kroki na pierwszem piętrze dobiegły mych uszu. Uniknąć spotkania z nimi było niepodobnem. Pozostawały dwie strony wyjścia. Wyjść jednemi drzwiami, znaczyło spotkać się z nimi nieuchronnie. Drugiemi znów, nie wypadało, gdyż te drzwi prowadziły do gabinetu barona, który zwykle w tej właśnie godzinie przyjmował interesantów. Tymczasem panowie wchodzą już do pokoju poprzedzającego salon. Jak nieprzytomna, rzucam się między nich i wybiegam, ścigana zapewne zdumionym wzrokiem. Na korytarzu spostrzegam Hortensyę.

— Horciu, jest tam z panem Witalisem ktoś nieznany mi jeszcze.

— Jest już? — zawołała rozradowanym głosem.

I bez pamięci rzuciła się w kierunku salonu.

— Ależ Horciu, jesteś nieubraną.

— Ah! masz racyę. — I poskoczyła do swego pokoju.

Niezadługo, ubrana przeszła przez moją sypialnię, rzucając mi w przelocie te słowa:

— Nie mogłabym oczekiwać na górze. Do salonu także wejść nie mogę, ale chociaż obok niego będę się znajdowała.

Po jej odejściu, minął kwadrans pół godziny, godzina cała, a nikt się nie zjawiał na górze.

Wreszcie weszła mama.

— Anusiu, teraz już mogę oznajmić ci wszystko, Hortensya jest narzeczoną pana Witalisa, a czy zgadniesz, kto jest ojcem jego?

Tu głos zniżyła do szeptu. Podsunęłam jej fotel, a sama uklękłam na dywanie w ten sposób, aby nie mogła widzieć mej twarzy.

— Ojcem pana Witalisa, jest ten ukochany ciotki Wandy, ten, o którym ci opowiadałam. Aż do dnia dzisiejszego opierała się najmocniej temu związkowi. Jakże mogła oddać córkę, synowi człowieka, którego wspomnienie zaprawiało dni jej goryczą? Do Witalisa pociągała ją sympatya, lecz myśl o jego ojcu odpychała także. Wszelako, chwile młodości, choćby najsmutniejsze, przecież nie pozbawione uroku, stanowiły dla niej epokę, jakiej istnienie nic już i nigdy nie wyrówna. Obok łez, błyszczały promienne w radość uśmiechy, rozczarowanie, poprzedziły sny złociste. Dlatego właśnie, gdy dziś, człowiek ten najniespodziewaniej stanął przed nią, na podobieństwo mary młodości, Wanda po raz pierwszy zmiękła. To, o czem dowiedziała się w długiej poufnej rozmowie, zmieniło ją zupełnie. Goniąc za zaszczytami znalazł więcej zgryzoty niż chwały. W bogatem ożenieniu nie wyciągnęło doń objęć szczęście. Przykuty niewolniczo do rozpieszczonej, słabowitej kobiety, znosił los swój heroicznie prawie. Gdy prosił o rękę Horci dla swego syna, mówił: „On ją kocha tak, jak... ja..."

Przez czas tej rozmowy, Wanda była rozrzewniona, ale przecież chwilę słabości może mieć każda kobieta, czy na niższym, lub na wyższym szczeblu społeczeństwa postawiona. Dwoje tych ludzi, którzy się rozstawali z sobą z żarem w sercu, dziś, kiedy czas przyprószył głowy ich szronem, pogodzili się z sobą i ze swym losem a przyjaźnią ożywien łączą swe dzieci w uścisku miłości, której sami wyrzec się musieli. Ah! Anusiu, jakiego męża będzie miała Hortensya! Pan Witalis zasługuje ze wszech miar na sympatyę.

W tej chwili weszła baronowa. Uderzyło mnie wzruszenie widoczne w niej. Niezwykłem ożywieniem świeciła cała postać.

— Wyobraź sobie, Zosiu, mąż mój ukląkł przedemną na podziękowanie za przyjęcie Witalisa. On go tak pragnął mieć zięciem. Czy Anusia wie o związku przyszłym Horci? Zostanie do wesela, koniecznie.

— Czy podoba ci się Witalis — zagadnęła moja mama.

— O! tak — odpowiedziała ciotka — miałam dlań zawsze pewną sympatyę, tylko... — tu urwała.

— Mamusiu, cioteczko, proszę mnie i Anusię zostawić same — zawołała wbiegając Hortensya— mamy między sobą sekreta.

— Wiem wszystko — rzekłam siląc się na spokój.

— Wyjdziemy, wyjdziemy — mówiły obie panie śmiejąc się — nam także potrzeba samotności.

— Wiesz już więc o wszystkiem? — Zagadnęła Horcia, rzucając się na fotel. — Teraz zrozumiałaś zwłokę sześciu dni i depeszę do Nicei? Widzisz, wszystko trzeba było tak urządzać, aby mamę skłonić do udzielenia błogosławieństwa. Przyparta z jednej strony do muru przez ojca Witalisa, z drugiej przez ciocię, powiadam ci, że mama odmieniła się zupełnie, tak, że pomijając wszelkie względy etykiety, na jakie była niezmiernie wrażliwą, wyobraź sobie, pocałowała mego narzeczonego w czoło. Ah! Anusiu, co to był za wieczór dla nas ten koncertowy, kiedy mi się oświadczył...

— Horciu, może zostawisz mnie samą, taki szalony ból głowy...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wskazówki umiejętnego ubierania się.

Zebrała i własnemi spostrzeżeniami uzupełniła

Doświadczona Warszawianka

M. Niemitra.

VI.

Zastosowanie tualety do mężowskiej kasy.

Nie ma chyba kobiety, którąby się nie lubiła ładnie i modnie ubrać. Lecz często bardzo stają temu na przeszkodzie środki materyalne, które zmuszają niejedną, w naszych ciężkich warunkach, do noszenia zużytej i niezupełnie już modnej tualety.

Otóż niżej pragnę czytelniczkom moim podać kilka rad, jak małemi środkami, nie żałując starania, można w każdym sezonie być modnie ubraną.

Przedewszystkiem radziłabym na każden sezon sprawić tylko jedną tualetę, która naturalnie po-

winna być podług ostatniej mody z najlepszego materyału. Mówię, jak się to można łatwo domyśléć, tylko o kostyumach na ulicę. Otóż tualetę tę nosić przez cały sezon, póki pora roku nie wymaga innej. Później sprzedać ją. Proszę łaskawa czytelniczko, nie uśmiechaj się przy radzie tej i nie nazwać jej naiwną. Za granicą zwyczaj ten jest w użyciu nawet w najwyższej arystokracyi. Gdyż oprócz strony materyalnej, tym sposobem nie nagromadza się niemodnych tualet. W mieście naszem jest dużo handlarek, które bardzo chętnie kupują dobrze utrzymane suknie, wcale nieźle za nie płacąc. Dla cokolwiek więc zamożniejszych, jest to bardzo praktyczna rada, choć w pierwszej chwili nie trafi do każdego może przekonania.

Bardzo wiele z naszych pań sprowadza swe suknie i okrycia z Paryża, Wiednia i Berlina. Czyż nie zdarza się często, że pomijając ogromne ceny, które za tualety te płacić trzeba, otrzymuje się coś, co wcale nie odpowiada naszemu gustowi i jest zupełnie przeciwne temu czegośmy sobie życzyli? Jako pierwszy warunek, radziłabym zatem samej sobie wybrać materyał, podług własnego gustu i stanu swojej kasy, przybranie także do własnego gustu zastosować i całą tualetę, podług wzorów w „Tygodniku Mód" pomieszczanych, kazać zrobić. Najlepiej w każdym razie jest uszyć takową w domu.

Byłoby bardzo do życzenia, aby w wyższych zakładach naukowych, lub też w domu, na równi z nauką języków i muzyki, została zwróconą uwaga na krawieczczyznę damską. Umiejętność ta, w życiu przeciętnej kobiety, jest bardzo pożyteczną i gdyby każda z nas ją posiadała, wtedy panowie nasi z pewnością mieliby mniej sposobności do narzekania na budżet wydatków domowych.

Nie noszą obecnie, właściwie w bieżącym, wiosennym sezonie, nic szczególnie nowego.

Do jedwabnej, albo wełnianej spódnicy, dawniejszego fasonu, z materyału w pasy, kraty albo innego deseniu, można wziąć vêtement z cienkiego sukna, lub wełnianego materyału w jednym kolorze, który powinien być zastosowany do tła spódnicy. Vêtement to z przodu i tyłu powinno być prawie tej samej długości co spódnica, tylko z przodu szeroko się rozchodzi, aby cała spódnica była widoczną. Z tyłu cokolwiek podpięte, gładko spada do dołu. Duże kieszenie, kołnierz i mankiety można zrobić z tego materyału co spódnica, lub też z tego samego materyału, z którego vêtement zrobiono; wygląda to daleko skromniej.

Żakietki są noszone we wszystkich kolorach: jasne, ciemne, z materyałów w deseń i gładkich. Wszystko jest modnem! Należy tylko całą tualetę zastosować do twarzy, do całej osobistości.

Mając zeszłoroczną żakietkę ze stojącym kołnierzem, można takowy zmienić na wykładany otwarty, tak aby suknia przy szyi była widoczną. Przy chłodnej pogodzie, uważanem jest za niewłaściwe, końce ciasno koło szyi owiniętej chusteczki koronkowej, albo jedwabnej wpuszczać w otwór żakietki.

Jako nadzwyczaj gustowny wiosenny kapelusik mogę zalecić kapotki, albo budki zastosowane do koloru tualety lub też w zupełnie odmiennym jasnym kolorze. Tiulowy fason kapelusza pokrywa się gładko jasną materyą np. fraisse, którą się nakrywa ciemno-zielonym tiulem, albo iluzyą, ułożona w fałdki i zmarszczki. Na przodzie przybiera się kapelusik w suty, stojący pukiel; wstążki służące do wiązania uzupełniają całości kapelusza. Fason i kolor zależy od upodobania np. crême z ponsowym dla brunetki, czarny z różowym dla blondynki i t. p. Kapelusik taki jest bardzo prędko wykończony, ślicznie, strojnie wygląda, każdej twarzy w nim dobrze, a przytem zadziwiająco mało kosztuje.

Tym samym wyżej podanym sposobem można przy pomocy małych kosztów sprawić letnie i inne tualety. Kostyum podróżny z łatwością można sporządzić, biorąc w tym celu niezbyt nową już wełnianą spódniczkę i kretonową albo zefirową bluzkę.

Słomkowa budka podszyta gazą, albo kanwą, przybrana kokardą z niemodnego już jedwabnego szalika, dopełnia całości kostyumu.

Postępując w ten sposób zaoszczędza się w zupełności koszta specyalnie podróżnej tualety.

Na zakończenie jeszcze raz zwracam uwagę łaskawych czytelniczek, aby się wystrzegały bezwzględnego hołdowania modzie i tylko to z niej dla siebie przyjmowały, co jest rzeczywiście odpowiedniem, strzegąc się, jak zresztą we wszystkiem, przesady, która do śmieszności doprowadza.

WOLA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Tymczasem Dianna i Thauziat doszli w milczeniu do drzwi kościelnych. Zamykając furtkę młoda kobieta odezwała się pierwsza:

— Pani Héreault nie należy widocznie do zbyt rozmownych osób... wszak dziś nieusłyszeliśmy nawet dźwięku jej głosu... Ależ ładna w istocie... i nie dziwię się, że ci się podobała.

Wyszedłszy z zaciemnionego kościoła na światło dzienne, przez chwilę nic prawie nie widzieli. Oswoiwszy się dopiero z blaskiem, spostrzegli, że gromadka oczekujących na nich towarzyszy, zwiększyła się trochę, lecz jakież było ich zdziwienie, gdy w nowoprzybyłym poznali Ludwika Hérault.

Przybył on pieszo przez park z Boissise i zdumiał się usłyszawszy, że ktoś woła go poufale po imieniu: zdziwienie jego spotęgowało się jeszcze bardziej, skoro poznał dwóch przyjaciół z klubu, którzy siedząc przed zajazdem popijali jabłecznik i palili papierosy.

— Nie wierzę własnym oczom — zawołał przystępując bliżej. — Co wy tu robicie, moi kochani?

— Czekamy na panią Olifaunt i Thauziat, którzy udali się do kościoła a za chwilę wracamy do Lereboulleya.

Pogodne czoło Ludwika zachmurzyło się nagle i on bowiem dążył do kościoła na spotkanie żony i Emilii, niepodobna więc, aby te nie widziały się z Dianną i Klemensem. Lecz czy to spotkanie było z góry ułożone przez panią Olifaunt, czy też należało przypisać je tylko przypadkowi, tego Ludwik nie mógł w żaden sposób odgadnąć. Zastanawiając się nad tem, przyszło mu do głowy, że może Klemens umyślnie wybrał tę porę, aby sam na sam widzieć się z Heleną, lecz natychmiast odepchnął od siebie tę myśl i powiedział sobie w duchu, że przecie prędzej czy później musi się spotkać z dawnym przyjacielem i rad był nawet, że raz już przełamią się lody i nastąpi pojednanie z Klemensem.

Jednakże w tej chwili przypomniał sobie nieprzyjazne usposobienie Heleny względem Thauziat i niechęć z jaką opierała się Ludwikowi, gdy ten ostatni pragnął serdeczne odnowić z nim stosunki. Jakże więc dziś Helena postąpiła z Dianną i Klemensem? Co do Dianny był zupełnie spokojny, Helena bowiem nie domyślała się bynajmniej, że mąż jej był niegdyś wielbicielem pięknej pani i że nawet zawiązał z nią początek miłosnej intrygi, która się w tak gwałtowny sposób zerwała. Ale jak Helena powitała Klemensa? Kto inny dowiedziawszy się, że obok jego żony znajduje się mężczyzna, który niegdyś do szaleństwa był w niej rozkochany, uczułby zazdrość i trwogę, lecz Ludwik był najzupełniej spokojny. Helena dała mu już zbyt wiele dowodów przywiązania i rozsądku, aby miał jej choć chwilę nie ufać.

Zaufanie to stało się źródłem nieszczęścia dla młodej kobiety, gdyby bowiem Ludwik mniej był pewnym trwałości jej uczuć, byłby się zabezpieczył od możliwie grożącego mu niebezpieczeństwa oddalając Thauziat i panią Olifaunt zarazem. Lecz jemu obawa nawet w myśli nie postała i tam gdzie inna kobieta lekkomyślna i pusta znalazłaby w mężu pomoc i opiekę, pani Hérault, z powodu swej wyższości moralnej, pozostawioną była samej sobie.

Spostrzegłszy Diannę i Klemensa, Ludwik pośpieszył na ich spotkanie.

— A! jakżem rada, że spotykam całą rodzinę— zaczęła młoda kobieta — dopiero co widziałam matkę i dziecię a teraz mam przyjemność powitać ojca!... Jak się masz, kochany panie Hérault! małżeństwo służy ci znakomicie, gdyż wyglądasz ślicznie, jak świeżo uszczknięta róża!... No, Thauziat nie róbże kwaśnej miny i uściśnij rękę przyjaciela, którą on z całą szczerością do ciebie wyciąga.

W obec serdecznego wyrazu twarzy i przyjaznego ruchu Ludwika, Klemens zmieszał się niezmiernie. Wrodzona jego szlachetność nie dozwalała mu uścisnąć wyciągającej się ku niemu dłoni. Dotychczas trzymał się zdala od Ludwika i nie był zmuszony okazywać mu swych uczuć. Wszak powiedział Helenie.

— Nie mógłbym widzieć was razem i nie czuć nienawiści do tego człowieka!

Lecz czy nienawidził go teraz? Bynajmniej! Wzniosła jego dusza nie potrafiłaby przejąć się nienawiścią względem istoty tak słabej jak Ludwik, tylko dawna przyjaźń wygasła zupełnie w jego sercu, ustępując miejsca obojętności. Nie życzył źle Ludwikowi, gdyż przewyższał go szlachetnością i siłą charakteru, lecz pragnął nie spotkać się z nim nigdy i nie mieć z nim żadnej styczności. A tu nagle znalazł się w jego obecności i żadnym sposobem uniknąć nie mógł powitania. Od Ludwika dzieliła go tylko ta dłoń wyciągnięta na którą patrzył nie mogąc się zdecydować ją uścisnąć.

— Jeśli mu podam rękę — myślał — oszukam go niegodnie, gdyż nie mogę zwrócić mu przyjaźni, która zamarła w mej duszy. Zasługiwałbym wtedy na nazwę oszusta i obłudnika. Jeśli zaś odwrócę się od niego, musiałbym się wyrzec nadziei

zbliżenia się do Heleny a widzę, że żyć dłużej nie potrafię nie patrząc na nią, nie mówiąc z nią chociaż... Okropne położenie!... mam do wyboru hańbę lub rozpacz.

I przez chwilę wrzała w jej duszy gwałtowna walka pomiędzy miłością a dumą, miłość jednak zwyciężyła i Klemens pobladł z gniewu i oburzenia nad własną bezsilnością.

Tymczasem Ludwik wyciągając dłoń do przyjaciela, pochłaniał wzrokiem Diannę, która mu się nigdy tak piękną nie wydała. Obcisła amazonka uwydatniała cudowne kształty giętkiej choć pełnej kibici, błękitne jak habry oczy świeciły wilgotnym blaskiem, a zwoje płowych włosów wymykały się z pod szarego kapelusza, trochę po zawadyacku włożonego na głowę. Uśmiech niby drwiący a czuły rozchylał koralowe usta wśród których błyskały białe, drobne ząbki i Dianna była w tej chwili tak powabną, że Ludwikowi całkiem zawróciła się głowa.

Wspomnienie pocałunku jaki złożył na ustach tej czarującej kobiety, w czasie balu maskowego u księcia Voréseff, stanęło mu teraz żywo w myśli i krew falą uderzyła mu do głowy. Zapomniał o Klemensie, zapomniał o Helenie, serce biło mu przyśpieszonem tętnem, świat cały znikł mu z przed oczu i nie widział nic prócz tej uroczej i przewrotnej Dianny, której miłość musiała sprawiać rozkosz i cierpienie zarazem. Dotknięcie dłoni Klemensa wyrwało go zaledwie z tego niemego uwielbienia. Ujął żywo i uścisnąwszy zatrzymał podaną sobie rękę.

— Już mi jej nie cofniesz nigdy? — zapytał — wszak prawda, Klemensie? Przyrzeknij mi, że wszystko co nas dzieliło dotąd, będzie zapomniane zupełnie.

Klemens pochylił głowę i szepnął:

— Wszystko...

— O! ja cię znam, przyjacielu — zaczął znowu Ludwik — i wiem, że twój gniew nie mógł trwać długo! Widziałeś Helenę w kościele, mówiłeś z nią zapewnie?... Zobaczysz, pogodzę was z sobą i będziecie najlepszemi przyjaciołmi... Żebyś ty wiedział, mój drogi Klemensie, co to za wzorowa matka z tej mojej Heleny, a jaka dobra gospodyni... Powiadam ci, żyjemy jak jacy mieszczanie... Dla ciebie życie takie byłoby za zbyt pospolite, brakłoby mu wzniosłych i namiętnych wrażeń. Zresztą, ty nie jesteś stworzony do małżeństwa... tak, przyszedł ci do głowy jakiś kaprys, ale możesz się nazwać szczęśliwym, że marzenia twoje nie zmieniły się w rzeczywistość... Takie jak ty orły nie powinny mieć nigdy skrępowanych skrzydeł... co innego biedny, pospolity człeczyna tak jak obecny tutaj najniższy twój sługa... Eh! i to jeszcze!...

— I cóż jeszcze! Patrzcie państwo, czy i pan już zaczniesz utyskiwać na swój los nieszczęsny?— wesoło zawołała Dianna.

W miarę jak Ludwik mówił, na ustach Klemensa osiadał coraz wyraźniejszy ironiczny uśmiech. Przyjaciel chciał w nim uśpić nawet wspomnienie przykrości a tymczasem obudził tylko pogardliwą litość. Otóż to tak, ten wybrany przez Helenę człowiek cenił swoje szczęście! Jakże nizko stawiał miłość tej godnej uwielbienia kobiety, z której posiadania powinien był chełpić się przed światem!

— Wzorowa gospodyni, mieszczańskie szczęście — z goryczą powtarzał w duszy Klemens — no, no, to spadł z obłoków na ziemię. Doprawdy, zdaje mi się, że patrzę na zmianę w teatrze, gdzie czarodziejski wóz tryumfalny zamienia się po chwili w najpospolitsze otoczenie.

— Teraz, kochany panie Hérault, skoro już dokładnie odmalowałeś nam obraz twego domowego szczęścia, zechciej przyjąć najserdeczniejsze nasze życzenia — rzekła pani Olifaunt z powagą. — Jestem pewna, że nie żałujesz wcale twego dawnego kawalerskiego życia i utraconej swobody.

— Kto wie — odezwał się Ludwik, płomiennym wzrokiem obejmując powabną postać młodej kobiety.

— Nie, nie! Nie powinieneś pan żałować niczego.. w przeciwnym razie nazwałabym pana najszkaradniejszym niewdzięcznikiem!... Na honor, czegóż panu więcej potrzeba? Posiadasz spokój serca i pędzisz życie regularne jak w zegarku. Gwałtowne namiętności, silne wrażenia, nie będą nigdy twoim udziałem czyli, że życie twoje upływać będzie zupełnie w odwrotnym kierunku niż to, jakie tak dowcipnie przedstawiłeś przed chwilą panu de Thauziat... Pamiętaj o tem, panie Hérault, abyś zawsze trzymał nogi ciepło a głowę chłodno, to doczekasz w zdrowiu i spokoju późnej starości!

— Wolno pani szydzić ze mnie; niestety, nie mogę się o nic upominać, prawo przysługuje tylko pani.

— Jakiś pan uprzejmy, że mi tak łatwo udzielasz tego prawa!

— Muszę, gdyż w przeciwnym razie możeby pani nie czekała na moje pozwolenie.

— Masz pan słuszność, nie czekam nigdy na żadne pozwolenie i biorę zawsze własnowolnie to co mi się podoba.

Mówiąc te słowa przymrużyła oczy i przez szyldkretową lornetkę zaczęła ironicznym wzrokiem mierzyć od stóp do głów Ludwika, podczas gdy usta jej zalotnym rozchylały się uśmiechem.

— Tylko nie pochlebiaj pan sobie, że to co mówię stosuje się do pana — dodała z wyzywającą miną. — Zresztą pan się już nie liczysz od chwili, gdy słodkie włożyłeś na ręce okowy.

— Nie jestem tak skrępowany jak się pani zdaje — odparł z żywością. — Czy upoważniasz mnie pani, abym cię kiedy odwiedził?

— Nie, mój piękny przyjacielu i jeszcze raz nie. Siedź spokojnie i gruchaj miłośnie w twoim gołębniku... Thauziat biorę cię za świadka, że nie chcę przyjmować tego pana u siebie...

— Pojadę jednak wbrew woli pani — rzekł śmiejąc się Ludwik. — Ale czy wina moja będzie tak ciężką?

— O! nie ciesz się pan bynajmniej podobną nadzieją!

I Dianna przeszła mimo niego, ukazując z pod zarzuconej na rękę amazonki, śliczną małą nóżkę obciśniętą w lakierowany bucik, którego obcas stukał zuchowato o ziemię.

— No panowie, gawędziliśmy już dość długo — rzekła Dianna, zwracając się do swych towarzyszy — a mamy jeszcze dobrą milę do domu.

Pani Olifaunt przystąpiła do koni, Ludwik zaś nie pytając o pozwolenie, objął ramieniem jej kibić i odrazu posadził ją na siodle. Dianna spojrzała nań z góry i rzekła ze swoim drażniącym uśmiechem:

— No, no! nigdy nigdy nie przypuszczałam, że pan jesteś tak silny.

I odbierając uzdeczkę uderzyła konia szpicrutą, ręką przesłała ukłon Ludwikowi i puściła się truchtem, otoczona obłokiem kurzawy.

— Do widzenia Thauziat. Żegnam panów! — wołał za niemi Hérault.

A gdy odjeżdżający znikli mu z przed oczu, on stał jeszcze chwilę ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń, w głębokiej pogrążony zadumie. Nareszcie ocknął się, westchnął i zawrócił wolnym krokiem ku kościołowi, aby mieć czas ochłonąć z doznanych wrażeń i uspokoić namiętnością rozigrane nerwy.

Tymczasem Dianna pędziła naprzód z Klemensem, pozostawiając zdala za sobą całe towarzystwo. Długi czas milczeli oboje, wreszcie pani Olifaunt zwróciła się do swego towarzysza.

— Tak więc pogodziliście się, przynajmniej pozornie z Ludwikiem — zaczęła. — I lepiej się stało, mój drogi, gdyż powiem ci otwarcie, że wyglądałeś zupełnie na nieszczęśliwego bohatera romansu.

Twarz Klemensa chmurna i ponura, zasępiła się jeszcze bardziej.

— Skłamałem dziś dwa razy: uczynkiem i słowem, Dianno — rzekł stłumionym, bezdźwięcznym głosem. — Podałem dłoń Ludwikowi i powiedziałem mu, że wszystko między nami poszło już w niepamięć. Pierwszy to raz w życiu popełniłem podłość i cierpię okrutnie.

— Przesada!... W miłości wszystkie środki są godziwe! Słyszałeś przecie jak twój Pylades dowodził i jaki dawał ci wzór z siebie... Gdybym tylko kiwnęła palcem byłby z nami pojechał na obiad do Evreux. Ręczę ci, że przez te pięć minut, które rozmawiał z nami, więcej jak dziesięć razy zdradził w myśli swoją żonę a ty miałbyś się rządzić jakiemi skrupułami? Jesteś za zbyt wspaniałomyślny i pragniesz odgrywać rolę błędnego rycerza!... Ależ mój drogi, zastosujże się do pojęć naszego wieku, teraz moralność nie popłaca bynajmniej i tylko głupcy bywają cnotliwi!

— Dla mnie istniała jedna tylko religia a tą był honor — rzekł Thauziat głucho — dziś zaś postąpiłem wbrew najprostszym pojęciom honoru.

— Religią twoją jest miłość jaką czujesz dla kobiety. Bo czyż w istocie miłość nie bywa najpotężniejszym czynnikiem w życiu ludzkiem? Wszystko co można nazwać prawdziwie wielkiem tak w szlachetnych jak również i zbrodniczych zamiarach, czerpie źródło w miłości. Więc i ty kochany Klemensie powinieneś wznieść się nad poziom pospolitości. Zasady rządzące światem nie dadzą się zastosować do każdego usposobienia, pewna kategorya ludzi musi się z pod nich wyłamać. Dlaczegóż ty masz się krępować jakiemiś moralnemi względami, które nie istnieją bynajmniej tylko je w swej wyobraźni wytwarzasz? Na cóżby się zdało być wyższym od innych ludzi jeżeli trzebaby się naginać do tego samego jarzma? Zerwij więc ciężące ci pęta i przyjmij za jedyną zasadę twego życia: zadowolnienie własnych przyjemności. Ja oddawna rządzę się już tą zasadą i bynajmniej tego nie żałuję. A zresztą jedna tylko rzecz powinna tu iść w rachubę: wszak kochasz, nieprawdaż?

— Do szaleństwa! — odpowiedział Thauziat.

— Przypomnij sobie co ci powiedziałam przed rokiem: że kiedyś będziesz rywalem Ludwika Hérault i że obydwaj w jednej zakochacie się kobiecie... Miałam wtedy jakoby jasnowidzenie przyszłości. Pamiętasz zapewnie, że odpowiedziałeś mi śmiejąc się: jeśli sprawdzą się twoje słowa oddam ci na pastwę Ludwika i to będzie moją zemstą... Teraz nadszedł błogi dzień odwetu, Klemensie... Nie lękaj się jednak, wiem jak jesteś drażliwym i oszczędzę ci niepotrzebnych wyrzutów sumienia, nie myśl zatem, że będę cię prosić o oddanie w moc moją Ludwika Hérault, nie, ja potrafię sama pociągnąć go ku sobie. A gdy ujrzysz

piękną Madonnę zdradzoną i znieważoną przez tego dla którego poświęciła ciebie, jestem pewna, że twoja cnota uleci ku niebu i żezanioła przedzierzgniesz się w człowieka z wszystkiemi jego ułomnościami i wadami.

— Dianno! — zawołał z mocą Klemens — zabraniam ci...

— Cicho! — przerwała mu piękna pani — kobiecie nikt nie ma prawa zabronić czegokolwiek!

A gdy Klemens chciał jeszcze błagać i prosić, Dianna dodała szybko:

— Cicho bądź, powtarzam raz jeszcze. Nasi towarzysze są już bardzo blizko a przypuszczam, że oboje nie życzylibyśmy sobie, aby mieli się domyśléć co było przedmiotem naszej rozmowy.

I pochylając się na siodle, szepnęła jeszcze do ucha Klemensowi:

— Skoro ukochana przez ciebie kobieta znajdzie się wreszcie w twoich objęciach, przypomnij sobie, że szczęście swe zawdzięczasz tylko Diannie!

VIII.

Nadeszła jesień a z nią rozpoczął się ruch w fabrykach i przedsiębierstwach. Lereboulley, Thauziat i Hérault, zawsze nierozłączeni pracowali wspólnemi siłami nad ułożeniem warunków zawiązującego się stowarzyszenia, mającego na celu przeprowadzenie liny transatlantyckiej i często odbywali narady w biurze Lereboulleya, mieszczącem się przy ulicy Le Peletier. Tak ryzykowne przedsiębierstwo wymagało w istocie wielkiego zastanowienia, bo nic łatwiejszego jak oplątać się w złe interesa z których później nie ma wyjścia. Stowarzyszenia angielskie, przerażone grożącą im konkurencyą a mające potężne środki w rozgałęzionym po całym świecie handlu, gotowały się do rozpaczliwej walki z towarzystwem francuzkiem. Należało przewidywać obniżenie taryfy transmisyjnej i ustanowić ekonomiczne warunki stowarzyszenia w ten sposób, aby nie tylko wytrzymywać walkę ale jeszcze zwyciężyć.

Ludwik opowiadał żonie wszystkie te szczegóły z rozwlekłością, budzącą w Helenie wysokie wyobrażenie o nadzwyczajnej jego pracy i gorliwości, z jaką zajmował się interesami. Jednakże nacisk i ciągłe zwracanie uwagi na tę samą kwestyę jakby w chęci usprawiedliwienia coraz częstszej nieobecności w domu, obudziły niepokój w sercu młodej kobiety.

Pewnego dnia, gdy Emilia była na obiedzie w pałacyku przy przedmieściu Poissonnière, Helena odezwała się z niechcenia wśród rozmowy toczącej się w innym zupełnie przedmiocie:

— Czy ojciec twój, Emilio, pojedzie do Ameryki w interesie przeprowadzenia tej liny, tak jak jeździł na wiosnę do Koryntu, aby zobaczyć miejsce przeznaczone na przekopanie międzymorza?

Emilia głośnym wybuchnęła śmiechem.

— Albo to ojciec jeździł do Koryntu w jakim naukowym celu — rzekła wesoło — pojechał bo mu się uśmiechała podróż z panią Olifaunt. Gdyby nie ten yacht i śliczna pasażerka znajdująca się na jego pokładzie, byłby z pewnością posłał którego ze swoich urzędników. A zresztą ja jeszcze nigdy nie słyszałam go rozmawiającego o tem stowarzyszeniu ani o Ameryce.

— Nie uważałaś chyba, Emilio, bo wiem dobrze, że ojciec twój, mój mąż i pan de Thauziat co wieczór prawie schodzą się razem, aby dokładnie wypracować projekt mającego się utworzyć przedsiębierstwa.

Emilia zdziwiona niewymownie, spojrzała po obecnych i dostrzegła, że Helena była niespokojna a Ludwik bardzo zmieszany. Przeczuciem wiedziona postanowiła inny nadać kierunek rozmowie obawiając się, aby przyjaciółka nie wyciągnęła jej zręcznie na słówko.

— Wszystko to jest bardzo prawdopodobne — rzekła unikając wyjaśnień i nic dziwnego, że ja o tem nie wiem, gdyż ojciec nie wspomina mi nigdy ani słówka o interesach.

— Gdyby ci powtarzał to wszystko o czem rozprawiamy, znudziłabyś się śmiertelnie — rzekł Ludwik odzyskując zwykłą pewność siebie. — Takie szczegóły techniczne i nagromadzenie cyfr nie ubawią nikogo. Wyobraź sobie...

— O! przez litość, daj pokój kochany Ludwiku! — zawołała z udaną wesołością Helena. — Zachowaj twoje dowodzenia na chwilę, gdy będziemy sami.

A zwracając na męża głębokie spojrzenie swych promiennych oczu, dodała:

— Co do mnie, ja słucham cię bardzo chętnie... Rozmowa twoja objaśnia mnie w nieznanym dla mnie przedmiocie.

Na tem skończyła się rozprawa, lecz gdy wstano od stołu Emilia, pod pozorem wypalenia papierosa, pociągnęła Ludwika do jego gabinetu i tam bez żadnego wstępu odezwała się doń w te słowa:

— Widzę, Ludwiku, że kryjesz się z czemś przed żoną; ślicznie postępujesz nie ma co mówić... Cóż to za historyjkę ułożyłeś o naradach odbywających się wieczorem z moim ojcem i Klemensem? Tak jakby mój ojciec po siódmej godzinie i podpisaniu wieczornych depesz, był zajęty czem innem jak własnemi przyjemnościami?... Czy i ty kochanku naśladujesz go w tym względzie?

— Co ci się marzy, Emilio! Zkąd ci to mogło przyjść do głowy?

— Ej! mój drogi, znając twój charakter można się wszystkiego spodziewać. Miałeś szczęście spotkać kobietę, posiadającą anielskie serce lecz być może, że jej cnota sprzykrzyła ci się już i wolałbyś pokosztować teraz występku. Ty lubisz takie przeciwieństwa!... Ufasz zbytecznie miłości żony i to daje ci spokój i swobodę, której właśnie na złe użyjesz. Tobie nie takiej trzeba było żony, gdybyś był dostał kobietę energiczną, która za najmniejszem z twej strony przestępstwem groziłaby ci odwetem, byłbyś dobrym i wiernym mężem; takie postępowanie utrzymywałoby cię w należytym szacunku. Zajęty obroną własnego dobra nie miałbyś czasu myśléć o zalecaniu się do innych kobiet. Jesteś za zbyt szczęśliwy, oto sens moralny całej tej historyi i starasz się wszystkiemi siłami zniweczyć swe szczęście!

— Moja dobra Emilio, wszystko co mi mówisz jest bardzo ciekawe i zajmujące; wzrusza mnie nadewszystko pochlebne wyobrażenie jakie powzięłaś o moim charakterze. Ale w tym razie zawiodły cię twoje wiadomości psychologiczne. Nie jestem znów takim potworem jak sobie ułożyłaś a jeśli wychodzę z domu bez żony, częściej może niżbym powinien, wierz mi, że rozrywki i przyjemności jakich używam są całkiem niewinnej natury.

— Jakto, czyżbym w domysłach moich wpadła przypadkiem na trop prawdy? — zawołała panna Lereboulley.

— Domysły twoje są najzupełniej błędne, chociaż rzeczywiście nie taję, że pragnąłbym się trochę rozerwać. Przyznam ci się, że wieczory spędzane jedynie w towarzystwie babci i Heleny, nie nęcą mnie bardzo. Zaraz po obiedzie żona moja zamyka się w pokoju dziecięcia a mnie nie pozostaje nic innego, jak drzemać w fotelu, otaczając się obłokami wonnego tytuniowego dymu. O dziewiątej żona z powrotem zjawia się w salonie; nie przeczę, że Helena jest powabną i miłą w obejściu lecz ciągłe obcowanie z jedną i tąsamą osobą, staje się nareszcie rzeczą niezmiernie monotonną. Cóż więc chcesz, kochana Emilio, ja potrzebuję się rozerwać, poruszać, gdyż w przeciwnym razie popadłbym w odrętwienie i zapleśniałbym w domu, wychodzę więc...

— I dokądże chodzisz?

— Najczęściej do klubu.

— I grywasz w karty?

— Czasami... Ale nie lękaj się, gram bardzo oględnie...

— Przegrywasz jednak, ma się rozumiéć?

— Różnie bywa... raz wygrywam to znów przegrywam... rezultat gry nigdy nie bywa wielki, gramy skromnie, jak przystało na poważnego ojca rodziny.

— Czy nigdzie więcej prócz w klubie nie bywasz? Tylko nie uciekaj się do kłamstwa, Ludwiku, gdyż ja i tak dowiem się prawdy.

— A gdzież chcesz abym chodził?

— Ja nie chcę tylko obawiam się... Zresztą jeśli bywasz w klubie, dlaczego robisz z tego tajemnicę przed żoną? Przecież w tem nie ma nic złego i lepiej być szczerym niż układać jakieś zmyślone historye, które prędzej czy później muszą wyjść na jaw; zobaczysz, że albo sam powikłasz się w rozmowie, albo kto zdradzi cię niechcący a wtedy zaufanie Heleny zmniejszy się z pewnością i biedaczka mocno nad tem cierpiéć będzie... Powiem ci, że popełniasz kapitalne głupstwo!

— Gdybym jej powiedział, że bywam w klubie zaniepokoiłaby się z pewnością, gdyż nie pojmuje tak jak ty, jakie życie wieść może młody człowiek w Paryżu. Znam Helenę i wiem, że czyniłaby Bóg wie jakie przypuszczenia, zdawałoby jej się, że dostałem się napowrót w to piekło z którego, jak mniema w prostocie ducha, wydobyła mnie szczęśliwie... Unikając więc wszelkich sporów i szanując jej spokój milczę i bardzo mi z tem wygodnie.

— Radzę ci jednak szanuj rzeczywiście nie pozornie jej spokój... Ale rozmawiamy tu już dobry kwadrans i dłuższa narada mogłaby wywołać podejrzenia, wracajmy więc do salonu.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Z DZIEDZINY NAUKI

I NOWYCH WYNALAZKÓW.

W Ameryce rodak nasz Zaliński, porucznik marynarki Stanów Zjednoczonych, wynalazł armatę pneumatyczną, wyrzucającą pociski dynamitowe.

Artylerya morska oddawna dążyła do tego, aby pociskami dynamitowemi zastąpić proch, którego siła eksplozyi znacznie jest słabszą od dynamitu.

Wszelkie jednak usiłowania w tym kierunku okazały się bezowocnemi, dopiero Zaliński otrzy-

mał mieszaninę dynamitu z żelatyną, która jest mniej niebezpieczną od dynamitu, gdyż nie jest tak czułą na uderzenia a posiada, przy takiej samej objętości, siłę wybuchową dwukrotnie większą.

Ponieważ zwykłe armaty nabijane prochem, przy wyrzucaniu dynamitowych pocisków, groziłyby wielkiem niebezpieczeństwem, przeto porucznik Zaliński postanowił zastąpić to ciśnieniem powietrza i w tym celu urządził armaty pneumatyczne, które działają rozprężliwością powietrza zgęszczonego pod znacznem ciśnieniem.

W New-Yorku, w przystani morskiej odbywały się pierwsze próby tego działa, którego pociski dobiegały blizko dwóch tysięcy metrów.

Wybuch pocisku następuje za pomocą małego ogniwa galwanicznego napełnionego chlorkiem srebra. Ogniwo to zamknięte w pocisku, w chwili uderzenia powoduje wyładowanie elektryczne, które wywołuje eksplozyę naboju dynamitowego.

Przekonano się, że pociski nowowynalezionych armat są daleko silniejsze od zwykłych pocisków prochowych, bo gdy te ostatnie rozbijały najwyżej trzy płyty żelazne, grubości dwóch centymetrów, pocisk dynamitowy przebijał ich sześć z łatwością.

Zaliński zachęcony powodzeniem zbudował armatę potężniejszą od znanych dział Kruppa. Próby z nią odbywano na jakimś przeznaczonym na zniszczenie okręcie, który od kilku pocisków rozleciał się w kawałki i zniknął w falach oceanu.

Potędze takich pocisków nie zdołają się oprzéć nawet najsilniej opancerzone okręta, które w obec tego świeżego odkrycia tracą olbrzymie znaczenie jakie dotychczas odgrywały w marynarce.

W New-Yorku również, uczeni łamią sobie głowy nad wynalezieniem przyrządu mogącego pełnić funkcye kata, to jest służyć do zabijania ludzi na śmierć skazanych.

Jeden tylko Edison nie chciał brać udziału w obradach mówiąc, że radby ludzi wskrzeszać a nie zabijać.

WIADOMOŚCI
Z RÓŻNYCH STRON.

Korespondentka Kuryera codziennego z podpisem Praktyczna, w podniesionej kwestyi założenia resursy dla rodzin, powiada:

...Co do mnie nie rozumiem jej celu. Czyż byłaby ona w stanie zastąpić zebrania rodzinne, przyjacielskie? Nigdy. Cały urok właśnie tych zebrań stanowi to, że się odbywa wśród kątów, do których przywykliśmy, ze swobodą rodzinną, że nie potrzebujemy się krępować towarzystwem obcych nam zupełnie osób, że możemy otwarcie wypowiedzieć to wszystko co nam na sercu leży, nasze radości czy żale. Zresztą byłby to rodzaj gonitwy żon za mężami, co sądzę że zbyteczne, wszak oni sami, nie czekając tego, więcej już wieczorów w gronie rodziny spędzać będą.

Nie ma wątpliwości, że żadna resursa zebrań w domach prywatnych nie zastąpi. Ale nie zawsze jak chcemy robić możemy, a najważniejszym tu argumentem jest... oszczędność tym ważniejsza, że konieczna przy dzisiejszych ciężkich warunkach utrzymania.

Co przyjęcie gości kosztuje choćby najskromniejsze, wiemy dobrze, co kosztuje mieszkanie mogące bez wielkiego ścisku pomieścić większe niż zwykle grono zebranych godowników, znanem jest także każdemu. Wszystko to wymaga niemałego wydatku, jakiego w zupełności unika się przy wprowadzeniu w użycie resursowych zebrań.

Dach bowiem mieć nad sobą jest koniecznością, to samo nie być głodnym i pragnącym, tak więc czy owak, wydatki na to ponosić trzeba. Ale mając resursę unika się konieczności posiadania w mieszkaniu tak zwanej bawialni i zwiększania kosztów zwykłego utrzymania domu na przyjęcie gości. Pragnę zabawić się, zabieram wszystką dziatwę, z wyjątkiem naturalnie zbyt małych dzieci, butersznitki pakuję do koszyczka, mężowi podaję rękę i ruszam do resursy. Tam mąż robi co mu się podoba, gra w karty, czyta gazety lub książki z biblioteki resursowej, słowem niczem nie jest krępowany. Żona zajmując się robotą ręczną gawędzi ze znajomemi paniami, dziatwa bawi się wspólnie lub tańczy, młodzież popisuje się grą na instrumentach pojedyńczo lub zbiorowo, śpiewa, składa chóry, odgrywa sceny komiczne lub dramatyczne, słowem urządza różnego rodzaju rozrywki.

W drugim znów pokoju kipią samowary, gdy więc przyjdzie zwykła chwila posiłku, matki rodzin wydobywają z koszyków imbryczki, filiżaneczki, zaparzają herbatę, rozlewają ją i syci, ubawieni, wracają do domu zadowoleni, że po pracy znaleźli przyjemny wypoczynek, z małem niezmiernie powiększeniem zwyczajnego w domu wydatku.

Za granicą podobne zbieranie się rodzin nietylko ma miejsce w resursach, posługujących cokolwiek zamożniejszym, ale i w zwykłych piwiarniach przez uboższe grona nawiedzanych. W Warszawie zwyczaj ten praktykowany już jest przez klasę rzemieślniczą ale głównie podczas świąt w letniej porze, z tą tylko zmianą, że tu miejsce herbaty piwo zastępuje. Cóż więc byłoby strasznego, gdybyśmy w Warszawie i w innych większych miastach, resursy rodzinne urządzali? Wartoby się nad tem zastanowić.

Prognostyk zimy. Gdy u nas pogoda i ciepło, a przed parą dniami były upały, jak śród lata, na północnym wschodzie Europy już się zaczęła twarda jesień. W okolicy Moskwy przymrozki, a na wyżynach alpejskich śnieżyce. Centrum depresyi przesuwa się zwolna z północo-zachodu na północo-wschód, a przy wysokiem ciśnieniu atmosferycznem na północy, temperatura w Europie Środkowej nieznacznie, ale stopniowo się zniża. Przy znacznej różnicy temperatury pomiędzy północą a południem Europy, spodziewać się można wkrótce nowej seryi deszczów lub wiatrów, poczem nastąpi znaczne oziębienie powietrza i dalszy ciąg jesieni będzie już przeważnie zimny. Zima zapewne będzie wczesna i ciężka, przynajmniej w pierwszym okresie.

Pamiątka. Na tem samem miejscu, gdzie stał niegdyś domek drewniany, w którym Adam Mickiewicz życie zakończył, wzniesiono obecnie dwupiętrową kamienicę murowaną. Znajduje się ona w Peru, w dzielnicy europejskiej Konstantynopola, noszącej nazwę Mezaristan (co znaczy: cmentarz). Nad drzwiami domku widnieje biała marmurowa tablica z napisem, którego ortografia... wiele pozostawia do życzenia. Czytamy tu mianowicie: „Na pamiatkę postawiony ten dom na tem miejscu, gdzie 20 Listopada 1855 roku umarł Adam Mickiewicz,” pod tem zaś: „*En cette place mourat le 20 Novembre 1855 Adam Mickiewicz, poëte polonais.*” Na frontowej lewej stronie domu, na mniejszej tablicy, wyryty jest napis: *Adam sokag* (ulica Adama). Słuszną robi uwagę *Kraj*, z którego tę wiadomość czerpiemy, iż należałoby coprędzej zmienić tablicę z jej skandaliczną ortografią.

Chrześciaństwo w Londynie. Na kazaniu swem, kardynał Manning skreślił w tygodniu ubiegłym obraz Londynu ze stanowiska chrześciańskiego. Kardynał mówił: „Żadne miasto chrześciańskie nie przedstawia tak smutnego obrazu, jak Londyn. Mieszka tam 4 miliony ludzi, z których dwa nie uczęszcza do żadnej świątyni chrześciańskiej. A jakże mała liczba z pośród tych dwu milionów otrzymała chrzest św., jak mała liczba odrodziła się z Ducha św.! Londyn jest pustynią. Tak, jak Rzym stary, jest on ściekiem, w którym spływają się wszystkie narody i wszystkie grzechy świata.”

Pijaństwo szerzy się tak dalece między damami z arystokracyi angielskiej, że uznano za konieczne wzniesienie zakładu, w którym damy owe byłyby przez rodziny umieszczane i zatrzymywane dopóty, dopókiby się nie odzwyczaiły od strasznego nałogu. Utworzył się tedy komitet i rozpoczęto potajemnie zbierać składkę na budowę gmachu. Członkowie najpierwszych rodzin arystokratycznych ofiarowali na ten cel znaczne sumy.

Konkurs piękności w Spaa, w Belgii, otwarty został w ubiegły wtorek. Przeszło dwieście pań stawiło się do apelu, a największego kontyngensu kandydatek na ten turniej urody dostarczyły: Paryż, Petersburg, Odesa, Madryt, San-Francisco i Wiedeń. Zarząd kąpielowy w Spaa, urządzając ten konkurs, miał na celu ożywienie miejscowości, która zaczynała już wychodzić z mody.

Gwiżdżąca primadonna popisuje się obecnie śród *high life'u* londyńskiego. Pani Shaw, Amerykanka, przybyła do stolicy Anglii z rekomendacyami od pani Vanderbilt i księżę Walii niezwłocznie zapragnął ją usłyszéć. Od tej pory weszła ona w modę i żadne zebranie w świecie arystokratycznym już się bez gwiżdżącej primadonny nie obejdzie. Pani Shaw istotnie dokonywa jakoby cudów w swej sztuce. Jest ona matką czworga dzieci i dla zapewnienia im utrzymania nauczyła się gwizdać; lekcye brała od nauczyciela śpiewu. Głośna ze skandalicznego procesu o wiarołomstwo pani Campbell, akompaniuje jej zawsze na fortepianie. Pani Shaw codzień przez dwie godziny gwiżdże dla wprawy gamy i pasaże, a dla nauczenia się nowej sztuki potrzebuje 2 do 3 miesięcy. Na dzieci swoje nie woła nigdy po imieniu, lecz gwiżdże na nie, na każde w inny sposób; dzieci pani Shaw mają również specyalny talent do gwizdania. Wygwizdanych primadon niebrak na świecie, ale ta primadonna gwiżdżąca jest chyba unikatem na kuli ziemskiej.

O strasznej trąbie powietrznej, jaka pustoszyła Hawannę dnia 4 b. m., nadchodzą dopiero teraz bliższe wiadomości, które wykazują, iż podobna katastrofa od niepamiętnych lat nie nawiedziła wyspy. Arsenał i prawie wszystkie gmachy publiczne, teatr, halle i różne zakłady zabawy uległy silnemu uszkodzeniu; w parku i wzdłuż bulwarów powyrywane zostały z korzeniami olbrzymie drzewa, które padając, zabiły kilka osób. Wicher przewrócił prawie wszystkie latarnie uliczne, tak że miasto w jednej chwili pogrążone zostało w ciemnościach. Szkody zrządzone w porcie nie dają się wcale obliczyć. Mnóstwo łodzi z ładunkami

cukru i tytuniu zatonęło; magazyny towarów zostały zburzone, a towary naturalnie uległy zupełnemu prawie zniszczeniu.

Dwóch majtków krzyżówca hiszpańskiego utonęło. Północna część miasta stała pod wodą, a na całej wyspie komunikacya możliwa była jedynie za pomocą łodzi. Wszystkie koleje donoszą, że całe nasypy uległy zerwaniu, a siła wichru wyrzucała pociągi z szyn.

Nową modę utworzyła w Ostendzie jedna z aktorek francuzkich, a mianowicie ubrania jerseyowe z drukowanemi figurami. Skoro materyał trykotowy się wyciąga i przyjmuje kształty ciała, owe drukowane postacie zmieniają się na najdziwaczniejsze karykatury. Trzeba tylko jeszcze dodać odpowiednie dopiski, a panie noszące podobne ubrania, staną się wędrującemi pismami humorystycznemi.

Smakosza spotyka Lichwiarz, żyjącego z nim jak pies z kotem i z uśmiechem milutkim jak syk węża powiada:

— Witam szanownego pana, zawsze cieszę się, gdy go widzę, a podziwiam okazały brzuszek, dowodzący wytwornego guściku w wyborze pokarmu i napitku, którym pochlubić się nie mogę.

— Nie zazdrość! — odpowiada Smakosz.—Guścik mój, jak obliczyłem go do dziś dnia, kosztuje mnie pięćdziesiąt tysięcy rubli. Dla ciebie sprzedam go za pół ceny i wypłatę rozłożę na raty z procentem jaki zwykle pobierasz miesięcznie, dziesięć kopiejeczek od rubelka.

* * *

Mickiewicz lubił nosić długie włosy i zarzucał je we wdzięcznym nieładzie na tył głowy. Pewnego razu, krocząc zwolna po ulicach Paryża, zatopił się cały w myślach, układając plan jednego z większych swych poematów, aż wreszcie przypomniała mu się doczesność życia w uczuciu porządnego głodu. W roztargnieniu, zamiast do restauracyi wchodzi do... fryzyera! W milczeniu zasiadłszy przed lustrem, bierze poeta leżący na stole dziennik i zaczyna czytać, podczas gdy fryzyer, widząc długie pukle, otula go prześcieradłem i zabiera się do strzyżenia. Po pewnym czasie, skróciwszy czupurynę o jaki cal, pyta Mickiewicza: Encore? — Encore! — niecierpliwie odpowiada głodny wieszcz, nie odwracając oczu od gazety. Fryzyer tedy ucina jeszcze jeden cal. — Encore? — pyta znowu. — Encore! — brzmi odpowiedź zaczytanego poety. Po takiem zaleceniu, rozumie się, spada trzeci cal włosów, lecz przy ponownie powtórzonem: encore? zrywa się Mickiewicz i woła z uniesieniem: — Jak pan śmiesz pytać: jeszcze, nie podawszy mi dotąd nic do jedzenia! — W tejże atoli sekundzie rzuca mimowolnie okiem w zwierciadło i ze zgrozą spostrzega, że ma przeszło o połowę skrócone włosy. Opamiętanie przyszło za późno. Mickiewicz zrozpaczony i zmieszany zapłacił Fryzyerowi za strzyżenie i uciekł pospiesznie do domu, gdzie przez dwa tygodnie zamknął się i czekał, aż mu choć trochę odrosną utracone zwoje włosów: wstydził się bowiem pokazać znajomym zeszpecony, jak się wyraził, opowiadając o tem pani N., z której ust anegdotę niniejszą mieliśmy sposobność usłyszeć.

* * *

Dzienniki francuzkie, dające premia bezpłatne w postaci książek, stalorytów, zegarków i posążków, prześcignięte zostały niedawno przez jedno z pism amerykańskich, które ofiaruje czytelnikom swoim za półroczny abonament, jako premium... lamparta. „Prawda" — dodaje pismo owo kończąc zaproszenie do prenumeraty — „że lampart, a zwłaszcza żywy, nie dla każdego jest pożądanym. Ale ten kto go otrzyma ma prawo zamienić go na 50 królików, fortepian, półroczny abonament w teatrze Apollo, pięćdziesiąt plumpbudyngów, albo... bicykl z muzyką." Jest w czem wybierać.

* * *

— Chwili zgonu mojej żony, nigdy nie zapomnę.

— A dawno jak ją straciłeś?

— Mniej więcej dwa czy trzy lata temu.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Suknia z szarfą. Spódnica złożona w płaskie fałdy, przybrana szerokiemi haftowanemi szlakami, węższy haft zdobi stanik i rękawy. Kamizelka, kołnierz marynarski, mankiety i długa szarfa z mory. Kapelusz Yokohama przybrany materyą i skrzydłem.

Suknia z vêtement. Przód sukni składa się z szerokich wszywek koronkowych i aksamitek, vêtement uszyte z materyału wełnianego w pasy, przybrane aksamitem. Kamizelka koronkowa marszczona, przyciśnięta paskiem ze sprzączką metalową, takież przepięcia przy mankietach. Kapotka filcowa haftowana, przybrana kokardami i podpięta kwiatem.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Aleksandrze Petrykowskiej w Zielone. Pod nazwiskiem pani nie mamy prenumeratorki a w przysłanym adresie stacya wymieniona jest niewłaściwa, gdyż taka w spisie pocztowym nie znajduje się. Dlatego przesłanie zaległego numeru nie mogło nastąpić. Prosimy więc albo o przysłanie dobrego adresu, albo, co najlepiej, kartki adresowej, na opasce każdego numeru pomieszczanej.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się rycina kolorowa.

TREŚĆ: Od Redakcyi. — Z literatury holenderskiej. — Spóźnione róże (wiersz). — Przesilenie, przez Maryś Napieralską (d. c.). — Wskazówki umiejętnego ubierania się. — Wola, przez Jerzego Ohnet'a, przekład Bronisławy Kowalskiej (dalszy ciąg). — Z dziedziny nauki. — Wiadomości z różnych stron

W Dodatku: Tysiąc-ośmset franków dochodu, przez Piotra DuChâteau, przekład K. P. (arkusz 6).

Дозволено Цензурою, Варшава, 14 Сентября 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.